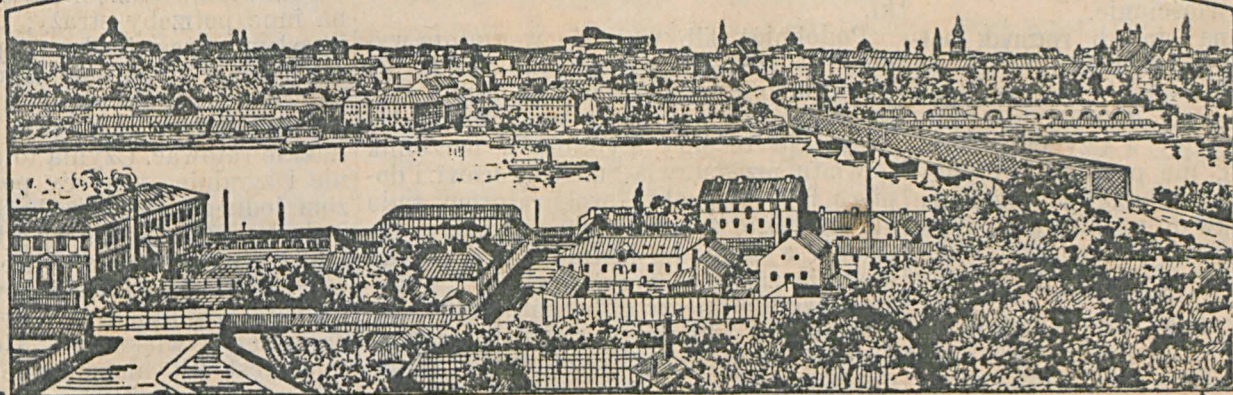


# GAZETA ŚWIĄTECZNA



Wychodzi w WARSZAWIE na każdą NIEDZIELĘ

22 Sierpnia  
Dnia 4 Wrześniu 1904 roku.

## Cena Gazety Świątecznej:

bez przesyłania:		z przesyłaniem:	
Na cały rok	2 ruble	Na rok cały	3 ruble
" pół roku	1 rubel	" pół roku 1 r. i 50 k.	
" ćwierć roku	pół rubla	" ćwierć roku	75 k.

Przedpłatę na Gazetę Świąteczną wysyłać należy do **KONRADA PRÓSZYŃSKIEGO**, jej pisarza, redaktora i wydawcy, w Warszawie, Plac Tzech Kżyży (gdzie kościół Św. Aleksandra), 11.

Numer pojedynczy Gazety kopiej. 5, z przesyłką k. 7.

Za ogłoszenia od drobnego wiersza lub jego miejsca: na stronie ósmej po 50 k.; na str. dalszych po 25 k. Małe ogłoszenia stałych czytelników darmo.

Utwory wykończane w Gazecie Ś. są własnością redakcji, więc tylko za jej przyzwoleniem przedrukowywane być mogą. Rękopisów nie zwraca się.

## O Wybrańcach i o Zastępcach gminnych i gromadzkich.

(Ciąg piętasty.)

Od paru dziesiątków lat po wsiach i miasteczkach naszych dosyć często można słyszeć, jak ludziska mówią o jakichś kandydatach. Nie rozumieją jednak do bity, co ta nazwa, „kandydat“, znaczy, więc też niewłaściwie, błędnie jej używają. Trzeba więc dziś najpierw ten błąd sprostować.

W starożytnym Rzymie, dwa tysiące i więcej lat temu, był taki zwyczaj, że jeśli kto pragnął dostać się na jakąś posadę urzędową, stać się urzędnikiem, to na wiecach, zgromadzeniach ludu, jako też i w miejscach urzędowych, gdzie urzędnicy czynności swe pełnili, pokazywał się wystrojony w białą całkiem szatę. A że na białość, na jasność Rzymianie mówili „kandyd“ (candidus znaczyło biały, candida — biała), więc takich białych strojnisiów, ludzi ubiegających się o urzędy, przewalali kandydatami. Od Rzymian zaś razem z łacińską mową, której dotąd u nas używają w kościele i przy niektórych naukach, ta nazwa „kandydat“ przeszła i do nas, i do innych narodów.

Więc kandydaci — to są przedewszystkiem tacy ludzie, którzy chcą sami i starają się, żeby ich wybrano na jakiś urząd, albo żeby ich na jakim urzędzie posadzono, albo wreszcie — żeby im nadano tylko jakąś niby godność wywyższającą, jakieś miano do chełpienia się przed innymi ludźmi. Ale nie zawsze i nie do wszystkich urzędów ludzie sami się garną. Zdarza się, że do jakichś urzędów, do pełnienia jakichś czynności, obowiązków, niema wcale ochotników, niema takich ludzi, coby sami chcieli je pełnić. Dlatego ustanowiono, że jeśli kogo na jakiś urząd wybiorą i posadzą na nim, to ten człowiek bez ważnych przyczyn wymówi się od pełnienia swych obowiązków urzędowych nie może, musi je pełnić, choć nie ma ochoty. A zdarza się też i tak, że ochotnik na urząd, czy do

czego bądź, niewiele jest, albo i nie jest sam wart; i gdy się taki ochotnik lecz niepoń do czego dorwie, to żadnego pożytku z niego nikt nie ma, jeno mają ludzie przykrości, udrczenie, przeszkody i straty. Gdy zaś wybiorą i posadzą na jakim urzędzie człowieka, który tego nie chciał i zabiegów żadnych o to nie czynił, lecz jest sumienny, dbały o dobro ogółu, i rostopny, zdalny, to on bez szkody, jeno z pożytkiem dla ludzi narzucone sobie i z musu przyjęte obowiązki pełni.

Więc nietylko u nas, po gminach, ale wszędzie na całym świecie, gdzie odbywają się wybory na urzędy, jest takie prawo, że wybierać wolno i należy nie tych tylko kandydatów, którzy sami się ubiegają, narzucają, albo napraszają i starają; prawo każe wybierać i sadzać na urzędach kogoś z takich tylko ludzi, których uważa za jako-tako zdalnych, a przedewszystkiem nie zanadto młodych, nie pozbawionych rozumu, i nie złoczyńców znanych z niegodziwych sprawek. Nadto prawo zastrzega, aby na niektóre urzędy wybierano osoby z pośród takich ludzi, którzy jeszcze jakimś innym warunkom czynią zadość, więc naprzykład takich, którzy coś mają, jakieś mienie własne a pewne, albo coś umieją, co w pełnieniu czynności na urzędzie jest koniecznie potrzebne.

Dziś więc naprawdę nie ten, kto się tylko sam o urząd stara, jest kandydatem. Dziś kandydatem do urzędu jest każdy obywatel, który czy chce, czy nie chce, może być na jakiś urząd wybrany, posadzony na nim i do pełnienia go zmuszony, jeśli jest według prawa za zdanego na tenże urząd uważany.

Więc w gminach naszych kandydatem na wójta jest *bezsprzecznie* każdy gospodarz czyniący zadość wszystkim warunkom, jakie zostały zawarowane i w nakreślonych wyraźnie przepisach ustawy gminnej, i w duchu z téjże ustawy wizerającym. Bezspornym kandydatem na wójta, jak również kandydatem i na skarbnika lub członka zarządu kasy pożyczkowej gminnej, jest (jak już mówiliśmy w zeszłym tygodniu) każdy chrześcijanin, który przeżył lat 25, a mieszka stale w gminie chociaż trzy lata, i sa-

modzielnie, bez żadnej opieki sobą i majątkiem swym rządzi, nie jest sądownie pozbawiony prawa do pełnienia urzędów, nie jest pod sądem, śledztwem, ani dozorem, jeśli przy tém wszystkiem ma w gminie nie krócej niż od dwóch lat zabudowaną osadę z sześciu przynajmniej morgami ziemi, i jeśli wreszcie czytać i pisać umie.

Spornie zaś, bo według liter jednego z przepisów téj ustawy (67), ale sprzecznie z jęj duchem i innymi przepisami, kandydatem na wójta, na skarbnika i członka zarządu kasy może być i bywa nawet i ten, kto czytać i pisać nie umie, byle wszystkim innym z powyższych warunków czynił zadość.

Na ławników sądowych kandydatami są w każdym razie wszyscy, którzy czytać i pisać umieją, gdy przytém również odpowiadają wszystkim innym warunkom powyżej tu wypisanym. Nie wymaga tylko od nich prawo, aby ziemia ich przynajmniej od dwóch lat była ich własnością i miała na sobie osadę zabudowaną.

Kandydatami na sędzie gminnego są wszyscy, bez względu na to, jaką wiarę wyznają, — więc nawet i niechrześcijanie, — mający prawo uczestniczyć w zgromadzeniach gminnych, żyjący na świecie przynajmniej 25 lat, właściciele przynajmniej takiej ilości ziemi, jaką winien mieć wójt, którzy nie są pod śledztwem ani sądem, nie byli wcale sądzeni za przestępstwo, za które groziłaby kara więzienia, nie są też na mocy wyroku sądu wyłączeni ze służby, nie są dłużnikami upadłymi, ani marnotrawcami oddanymi pod opiekę, mają zaś świadectwa z ukończenia jakichkolwiek szkół, lub nauk szkolnych, albo chociaż „służyli przynajmniej lat trzy na takich urzędach, które pełniąc mogli nabyć do doświadczenia wiadomości potrzebne do prowadzenia spraw sądowych.“ (Przepis 2-gi ustawy sądów gminnych zaprowadzonych w roku 1876, przepis 13 ustawy gminnej, i 201 ustroju sądowego.)

Kandydatami na sołtysów w zwyczajnych wsiach są wszyscy włóścianie czytelnicy i nieczytelnicy, mający przynajmniej trzy morgi ziemi własnej i mieszka-



cy we własnych domach, a czyniący zadość innym przepisom przytoczonym powyżej w tém miejscu, gdzieśmy mówili o kandydatach do urzędu wójta. We wsiach małopolskich, których gospodarze mają mniej niż po trzy morgi ziemi, kandydatami na sołtysów są wszyscy właściciele domostw, czyniący zadość owym innym warunkom. We wsiach zamieszkałych wyłącznie przez szlachtę lub inną niewłościańską ludność kandydatami na sołtysów są nie włościanie.

Kandydatami na stałych rocznych pełnomocników zgromadzenia gminnego są wszyscy właściciele ziemi, bez względu na jej ilość, w gminie, chrześcijanie, przynajmniej 25 lat żyjący, a trzy lata mieszkający w gminie, nie podlegający opiece, sądowi, śledztwu, dozorowi, ani karze pozbawiającej praw do urzędowania. (Przepis 3 ustawy pełnomocników gminnych z dnia 22 grudnia 1879 r., a 237 ust. zaz. gubernij Król. Pol.)

Na sprawdzaczy kasy kandydatami są wszyscy właściciele domów nie pełniący żadnego urzędu. Ustawa kasowa nie wymaga więcej od nich nie wymaga. Skoro jednak kasa jest gminna lub gromadzka, to i sprawdzacze stają się gminnymi lub gromadzkimi urzędnikami z wyboru. A zatem kandydatami na nich winni być tacy ludzie, z pośród jakich wolno obiecać i innych urzędników gminy, a szczególnie pełnomocników. Pamiętać przytém zawsze trzeba, że sprawdzacze kasy, jeśli nie umieją czytać i pisać, to nie mogą sprawdzać ksiąg ani rachunków kasowych, i wtedy żadnego prawie pożytku z nich niema.

Otóż widzimy, że kandydatów na wszystkie urzędy gminne i gromadzkie jest w każdej gminie i w większej części wsi i miasteczek bardzo wielu. Należy tylko dobrze z nich wybierać, aby gmina, wieś, czy miasteczko miały pożytek z dobrego urządzenia swojemi sprawami, a nie miały szkód i strat.

Zwykle się mówi, pisze i czyta o wyborach wójtów, sołtysów i innych urzędników gminnych, że gminiaci ich sobie wybierają. Niezupełnie jednak tak jest.

Naprawdę gospodarze gminy lub gromady wybierają wprost na zgromadzeniach swoich tylko stałych pełnomocników rocznych, albo pełnomocników, dozorców i działaczy do różnych osobnych spraw i czynności, a wreszcie i owych sprawdzaczy kasy pożyczkowej.

Wójta zaś, ani sołtysa, ani skarbnika i członka zarządu kasy, ani sędzi i ławników same gminy lub gromady nie wybierają wprost, tylko pośrednio i sposobem dwójnym.

Gdy odbywają się wybory na sołtysa, to gromada ma prawo wybierać nie sołtysa wprost, ale dwóch **Wybrańców** z pomiędzy wszystkich kandydatów na sołtysa. Gmina, wybierając wójta, ma prawo obrać sobie nie samego wójta, lecz również dwóch wybrańców z pośród wszystkich kandydatów na urząd wójtowski.

Dopiero potem z takich dwóch **wybrańców** na sołtysa, czyli z kandydatów już wybranych na ten urząd, naczelnik powiatu wybiera jednego i mianuje sołtysem, a drugiemu każe być **zastępcą** sołtysa, na wypadek jego nieobecności, gdy, na przykład, sam sołtys czy to wyjedzie, czy będzie chory, czy umrze, czy zostanie usunięty z urzędowania.

Tak samo z dwóch wybrańców zagłosowanych przez gminiaców na urząd wójtowski, jednego naczelnik powiatu wybiera i mianuje wójtem, a drugiego **Zastępcą** wójta.

Takie wybory na wójta i sołtysa u-

stanowione zostały w przepisie 71 ustawy gminnej. (§ 240 urządzeń zarządu gub. Królestwa Polskiego.)

Tak samo też zupełnie odbywają się wybory dwóch wybrańców na urzędy skarbnika, i osobno dwóch wybrańców na urząd drugiego, a właściwie trzeciego (obok wójta i skarbnika) członka zarządu kasy. Naczelnik powiatu zaś jednemu z wybrańców oddaje urzędowanie, a drugiego mianuje zastępcą na owe wypadki.

Podobnie odbywają się w gminie wybory na ławnika jednego, lub dwóch, czy trzech ławników. Na każdego z nich muszą być wybrani dwaj wybrańcy. Ale wszystkie te pary wybrańców naczelnik powiatu przedstawia gubernatorowi, i dopiero ten, wspólnie z prokuratorem sądu okręgowego, z każdej pary jednego wybrańca wybiera na ławnika, a drugiego mianuje zastępcą tegoż ławnika. W razie niezgody między gubernatorem a prokuratorem, wyboru z pomiędzy dwóch wybrańców na ławnika dokonywa minister sądów.

Minister też, lecz odrazu, w każdym wypadku, wybiera sędzie gminnego z pomiędzy wybrańców na ten urząd wybranych przez gminy jeden wspólny sąd mający. Jeśli się zdarzy, że wszystkie te gminy jednego i tego samego człowieka wybiorą, to muszą odbyć się w nich wybory ponowne na drugiego wybrańca. Minister ma też prawo nie wybrać żadnego z przedstawionych sobie wybrańców na sędzie, lecz mianować sędzią gminnym kogoś zupełnie innego, choć nie wybranego wcale na ten urząd, i nie mieszkającego poprzednio w tej okolicy, do której go przeznaczono, i nie mającego w niej żadnego majątku.

Te sposoby obierania przez gminy i gromady na urzędy po dwóch wybrańców, potem zaś mianowania z nich jednego urzędnikiem, a drugiego zastępcą, wskazują też, jak powinno odbywać się głosowanie na takich wyborach. Każdy z gminiaców na wybory zgromadzonych powinien dawać głos nie na jedną osobę, nie na jednego wybrańca, ale na dwóch ludzi, na dwóch odrazu wybrańców do każdego urzędu. Przy takim tylko głosowaniu wybory są sprawiedliwe i z prawem zgodne. A dlaczego — o tém już kiedy indziej pisałem, dzisiaj zaś brak na to miejsca. Niechaj to zresztą sami czytelnicy rozważą i na pytanie to odpowiedzą.

Teraz chyba też każdy, kto to czytał, zrozumie, że niewłaściwie ludziska u nas tazy różne rzeczy płaczą i mieszają, mylnie nazywając kandydatami nie kandydatów prawdziwych na urzędy, ale wybrańców i zastępców. Co innego jest kandydat, co innego wybraniec, a inna znowu rzecz zastępca. Na każdy urząd kandydatów jest wielu, a Wybrańców z nich tylko dwóch ludzie wybierają. Z tych zaś dwóch Wybrańców potem powstaje nie żaden kandydat, ale sam urzędnik i, na różne wypadki, Zastępca tego urzędnika.

Pisarz Gazety Świątecznej:

## NOWINY.

### Straż ogniowa gminna na wsi.

Rzadka to jeszcze bardzo u nas rzecz — straż ogniowa na wsi. Miasta, przynajmniej znaczniejsze, wszystkie mają swoje straże ogniowe, a to bądź tak zwane miejskie, czyli przez zarząd miejski utrzymywane i składające się z ludzi na-

jemnych, bądź też ochotnicze. Takich, ochotniczych, jest najwięcej. Urządzają je i utrzymują sami mieszkańcy miast, i to zwykle nie wszyscy, tylko ci, którzy mają do tego ochotę i dobrą wolę. Sami też w nich na ochotnika pracują. Członkowie straży ochotniczej bywają zwykle dwojacy: 1) honorowi czyli placacy, i 2) czynni czyli pracujący. Jedni placają tylko corok pewną składkę na zakup i odnawianie narzędzi ratunkowych, oraz na inne potrzeby straży; drudzy zaś dają własny czas i własną pracę, bo gdy gdzie pożar wybuchnie, rzucają swoją robotę i śpieszą do ognia, aby gasić go i powstrzymać, a mienie i często życie ludzkie ratować. Czynią to szybko, sprawnie i zgodnie, wszyscy posłuszni rozkazom jednego, którego obrali sobie na naczelnika. Po wsiach są gdzieindziej takie straże ogniowe we dworach albo przy fabrykach. Mogą też i powinny być we wszystkich gminach i w wioskach, przynajmniej w większych. Ale, na nieszczęście, jest ich niezmiernie mało. Przed rokiem utworzyli własną straż ogniową gospodarze dużej wsi Zdun pod Łowiczem, w gubernji warszawskiej. Teraz dowiadujemy się o nową straż wiejskiej ogniowej gdzieindziej. Ta została założona nie przez jedną wieś, ale przez całą gminę. Na tę straż ogniową gminną zdobyła się gmina Nielisz pod Zamościem, w gubernji lubelskiej, podobno głównie staraniem swego pisarza w urzędzie, Antoniego Urbańskiego. Pozyskawszy zatwierdzenie osobnej ustawy, choć to nie było konieczne, — bo gminy i gromady wiejskie mają prawo, a nawet obowiązek, same obmyślać i przedsięwziąć wszystko, co dla bezpieczeństwa od ognia i do ratunku jest potrzebne, — wiec gminny w Nieliszu uchwalił przeznaczyć na potrzeby straży ogniowej 600 rubli z wolnej reszty, jaka pozostała w kasie gminnej. Za pieniądze te kupiono sikawkę, która kosztuje 335 rubli, i różne narzędzia ratunkowe. Do tej straży ogniowej wstąpiło jednak, przynajmniej na początek, zaledwo 24 ludzi, przeważnie włościan. Pod kierunkiem obranego przez siebie naczelnika uczą się oni w wolnych chwilach, jak się obchodzić z sikawką i z innymi narzędziami ogniowymi, i w każdym czasie gotowi są iść na ratunek sąsiadom. Niedawno też zasłużyli już na wdzięczność ludzką, występując czynnie jako ratownicy przy pożarze w Podstarym-Zamościu. Szkoda tylko, że ta straż gminna tak mało dotąd ma członków. Toć wszyscy niestary jeszcze gospodarze i wszyscy młodzieńcy w gminie powinni do niej wstąpić.

**W Wodzisławiu**, miasteczku gminnym na południu gubernji kieleckiej, powstała też w tych czasach straż ogniowa ochotnicza, założona staraniem księdza proboszcza Sokolowskiego, doktora Breszla, aptekarza Kłopotowskiego i wójta Paszkowskiego. Należy do niej 120-tu członków z pośród mieszczan — rolników, rzemieślników i kupców. Przewodniczącym w zarządzie straży obrano doktora Breszla, a naczelnikiem — wójta. Dnia 16 sierpnia odbyło się poświęcenie tej nowo założonej straży i pierwsza jej próba. Na uroczystości tej byli wysłańcy od straży ogniowych ochotniczych z Miechowa, Jędrzejowa i Pińczowa. Narzędzia ratunkowe dla straży w Wodzisławiu kupiono za pieniądze zbierane od dobrych ludzi przez urządcy straży, bo gmina nie na to dać jakoby nie mogła.

**Nowa parafja.** Staraniem mieszkańców okolicy Kuluszek, stacji trzech dróg że-



laznych (jednej, która idzie z Warszawy do Częstochowy i dalej, drugiej do Łodzi, trzeciej do Tomaszowa Rawskiego), kościół w Koluszkach niedawno zbudowany zamieniono na parafjalny i ustanowiono tam probostwo. Do nowój tój parafji, liczącej 4 tysiące dusz, należą: Koluszki, Zakowice, Chżanowice i Różyca, które dotąd były w parafji brzezńskiej.—Benzelin, Mikołajew, Pogorzale-Ługi i Nowe-Chrósty, odcięte od parafji Łaznowa.—Słotwiny, Nowy-Redzeń — od parafji Budziszewa, — wreszcie od parafji Jeżowa przyłączone wsie: Felicjanów, Konstantynów, Stefanów, Leosin, Stamirowice, Długie, Jeziorko i Turbowice.

**Kopalnie węgla pod Rypinem.** We wsiach Starorypinie, Rusinowie i Godziszewicach pod Rypinem, w gubernji płockiej, znaleziono w głębi ziemi węgiel kamienny, i jeszcze w tym roku mają tam rozpocząć roboty około założenia kopalń. Zajmuje się tęp głównie pan Chełmicki, właściciel majątku Okalewa. Węgiel znaleziony w okolicy Rypina jest wprawdzie gorszy i mniej wart od węgla wydobywanego w okolicy Dąbrowy i Sosnowca. W każdym jednak razie stanowić może bogactwo dla okolicy Rypina.

**Z pod Stopnicy** w gubernji kieleckiej piszą do nas:

Ciężki mieliśmy przednówek. Ludzie przymierali z głodu, szczególnież ci, których zeszedło lata nawiedziła powódź. Dzieci wołały codziennie z płaczem:—Mamusio! chleba! jeść!—Z początkiem więc lipca rozpoczęto żniwa, nie czekając, aż zboże dojrzeje. Nadobrze jednak żniwa tu rozpoczęły się dopiero osiemnastego lipca, i odbyły się bardzo prędko a pogodnie. Po strasnej suszy sześciotygodniowej, w końcu lipca przechodziły deszcze nieduże, które wcale nie przemoczyły spragnionej ziemi. Potęp znowu rozpoczęła się susza. W niedzielę 7-go sierpnia przeszła burza z piorunami, deszczu jednak prawie nie było. Ciepłomierz Reomiura przez kilka dni wskazywał przeszło trzydzieści stopni gorąca. Urodzaje chybiły z powodu suszy. Oziminy jednak nie najgorzej wyglądały, tylko jarzyny, szczególnież owies, były marnie. Zboże, chociaż w tym roku nie kopne, ale zato plenne; kopa żyta wydaje przeszło cztery korce, kopa pszenicy — trzy korce. Ziemiaki i ogrodowizny chybiły. Pastwisko zupełnie wypalone. Bydło nędźnie wygląda; trzeba je w domu karmić sianem, które na domiar złego też nie wyrosło. O potrawach niema co nawet mówić, bo łąki wypalone. Należało bardzo skąpo u nas. Dziewina owocowa i połowy kwiatu nie utrzymała, bo go zważyły przymrozki majowe.

S. S.

**Wichura** w poniedziałek 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia, nawiedziła strony płockie i łomżyńskie. Pozrywała mnóstwo dachów z domów, stodoł i obór, poobalała tu i ówdzie budynki, a we wsi parafjalnej Ciechocinie, w zachodnim kącie gubernji płockiej, zwała nawet wieżę kościelną murowaną. Między innymi wicher rozwalil też oborę i stajnię w Duchyminie pod Chorzalami, na Kurpiach, przyczem zabitych zostało dwoje ludzi i 4 konie. W Janowiętach w powiecie ciechanowskim również dwóch ludzi zginęło w walącej się stodole.

**Z Władystoka,** miasta na wschodnim końcu Syberji i Mandżurji, na brzegu mo-

rza Japońskiego, gdzie jest główna przystań okrętów rosyjskich, pisze do nas jeden czytelnik dnia 29 lipca:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Temi pochwalnymi słowy oddając cześć Chrystusowi, witam też z przyjemnością pisarza Gazety Świętecznej. Chciałbym napisać ciekawe nowiny, ale boję się, że moja głowa nie po temu. Po pierwszym napadzie Japończyków większość mieszkańców z Władystoka wyjechała. W maju zaś komendant twierdzy, czyli naczelnik warowni, wydał rozkaz, aby ci mieszkańcy, którzy chcą nadal pozostać we Władystoku, zaopatryli się w żywność, aby mieli jej po dwadzieścia pudów na głowę. A kto nie ma pieniędzy na zakup, albo nie ma za co kupić żywności, to winien ztąd wyjechać. Wielu wtedy wyjechało. Zapewne bali się, że Japończycy podpłyną okrętami i będą walić w miasto z armat. Tych, co chcieli wyjechać, wywożono koleją żelazną darmo. To też teraz we Władystoku domy stoją pustkami. W przystani pod miastem stały cztery wielkie okręty wojenne pod nazwami: „Rossja“, „Gromobój“, „Ruryk“ i „Bohater“. Przyplłynęły tu cztery okręty niemieckie z węglem i trzy angielskie handlowe, zabrane przez Rossjan. Jeden z nich wioził dla Japończyków różne rzeczy do budowy dróg żelaznych i mostów. Dże wo było na nim tylko dębowe i jesionowe. Było też czterysta pak wina. Schwytano ten okręt dnia 1-go lipca.

Teraz napiszę, jakie tu są ceny: funt cukru kosztuje 40 kopiejek, a dawniej był po 18 do 20 k.; funt wieprzowiny 28 k., wołowiny 23 k. To też mięsa mało tu jedzą teraz, a główną żywność stanowią ryby z morza. K... S...“

**List żołnierza z Laojanu.** Przytaczamy tu kawałek listu pisanego w Laojanie dnia 18 lipca przez żołnierza pochodzącego ze wsi Gródka pod Sokołowem w gubernji siedleckiej, a wysłanego przed dwoma miesiącami na wojnę. Tak między innymi pisze on do siostry, która mieszka w Warszawie:

„A teraz donoszę wam, kochane siostry, że jestem w drodze już całe 35 dni, a ciągle jedzę koleją żelazną. Okrętem jedliśmy tylko jedną noc przez jezioro Bajkał. Przyjechaliśmy już do miasta Laojanu i mamy iść teraz na miejsce ogniowe, naprzeciwko Japończyków. I opowiem wam, kochane siostry, jakie Chińczycy mają tutaj doróżki. Są to bryczki na dwóch kołach; jeden Chińczyk zaprzęga się w hołoble, a drugi popycha z tyłu, i za taką jazdę biorą 6 kopiejek za trzy wiorsty. A także nadmieniam wam, że w mieście Charbinie rannych żołnierzy na wojnie leży w szpitalu niedużo, tylko 4600. Jeden dostał cztery kule: trzy w bok, a jedną w rękę. Dwie kule w boku przeszły na wylot, jedna zaś została w środku, bo nie miała siły wyjść na drugą stronę. Posyłam wam jak najniższy ukłon i żegnam się z wami, kochane siostry, i z całą rodziną, bo może się wcale nie zobaczymy. Jak wam wiadomo, nie wyjechałem na robotę, ale do ognia wojennego. Więc upraszam was serdecznie, najukochańsze siostry, proście miłosiernego Pana Boga i tój Królów Maryji, Matki Boskiej Częstochowskiej, żebyśmy się mogli zobaczyć. A jeszcze proszę, kochane siostry, odpiszcie do mnie jak najprędzej. Listy przysyłajcie bez marek, bo wydano takie rozporządzenie, żeby listy do żołnierzy będących na wojnie szły bez marek. Ale nie piszcie na kopercie nazwy żadne-

go miasta, ani żadnej miejscowości, tylko moje nazwisko i nazwę oddziału wojska, w którym służę, bo tak najprędzej list odbiorę. Piszcie więc tak po rosyjsku: „Do mandżurskiej armji czynnej, korpus 17-ty, dywizja 3-cia piechoty, pułk 9, rota 4“ — wkońcu zaś moje imię i nazwisko.

Serdecznie kochający was brat

Jan Woroniuk.

**Wież Gujsk** pod Sierpcem w gubernji płockiej nawiedził nocą na 20 sierpnia groźny pożar. Spaliło się 17 zagród z całorocznym zbiorem, dom urzędu gminnego, skład wódczany, i szopa, w której odprawiało się nabożeństwo, bo nowy kościół dopiero się buduje. Ogień wynikł z niewiadomej przyczyny w urzędzie gminnym i szybko rozszerzył się na sąsiednie zagrody. Przeszło 30 rodzin pozostało bez dachu nad głową i prawie bez sposobu do życia. Sierpczanin.

**Było tak jak Bóg przykazał.** W Gazecie 1233 była wiadomość o pożarze na Pąchowcie. Toć prawda, spaliła się i zagroda i dzieci — wszystko tak, jak było opisane. Tylko piszący zrobił niesłuszny i niesprawiedliwy zarzut sąsiadom pogorzalców, jakoby nie chcieli ratować dobytku Krauzego dlatego, że on jest ewangelik. Zapaliło się w samo prawie południe. Żywina Krauzego była wszystka w oborze, to też się spaliła, bo pożar rozszerzył się tak gwałtownie, że nie zdążono jej uratować. Maciaszkowa żywina była na pastwisku i dlatego ocalała, prócz jednego świniaka, który był w chlewie. Dom był drewniany. Sąsiedzi, a w ich liczbie i ja, który to piszę, rozerwali szczyt i wynieśli Krauzemu mąkę, poszorki i inne rzeczy, i to z pośród płomieni. Ja sam buty sobie popaliłem. Mógłbym też wymienić po nazwisku wszystkich tych katolików, którzy ratowali. Dzieci spaliło się dwoje: Maciaszka i Sipy (nie zaś Sipego). Fr. P.

**Z Kiszyniowa,** głównego miasta w Besarabji (co leży na południo-wschodzie od nas, ku morzu Czarnemu), otrzymaliśmy od jednego czytelnika „Gazety“ wiadomość o następującym wypadku: Franciszek Gajkowski, zamieszkały przy ulicy Puszkowski, przyniósł 6 kwart nafty w blaszance, i odkręciwszy a uniósłszy palnik palącą się lampę, zaczął naftę nalewać. Ale zanadto blaszankę przechylił, nafta chludnęła i zapaliła się. Gajkowski chciał gasić, ale go wnet płomień ogarnęły. Zona leżała już w łóżku. Zerwała się i przybiega na ratunek, ale i na niej bielizna się zapala. Ze strachu i bólu wybiegła na podwórce. Znać jednak silniejsza od bólu była troska o męża i o pozostawioną w łóżku 6-letnią córeczkę. Gajkowska bowiem powróciła tym pędem do izby. Tu spotrzegłszy męża, który cały już był w ogniu, schwyciła go w objęcia i razem z nim żywcem się spaliła. Dziewczynkę, poopalaną już, ale żywą, wyniósł ktoś z sąsiadów. Gajkowski miał 42 lata, ona lat 40. Zwłoki ich pochowano w jednym grobie na cmentarzu katolickim. K. O.

**Pół tuzina bliźniaków.** Zanim bociany zdążyły odlecieć, jeden z nich sprawił niezwykłą niespodziankę pewnemu młodemu małżeństwu we wsi Baranowie w Poznańskim. Oczekiwano tam przyścia na świat pierworodnego dziecka. Aż tu pocziwe bocianisko zamiast jednego przynosi aż sześciu chłopców. Wszyscy są żywi i zdrowi. Ważą po półtora do



2-eh funtów. Młoda matka ma się też niezłe. Szczęśliwy ojciec z radości w ręce klaskał i płakał. Sąsiadki dowiedziawszy się o takim rzadkim wypadku gromadnie schodziły się z życzeniami. Nawet do cesarza niemieckiego Wilhelma wysłano niezwłocznie telegrafem wiadomość o urodzeniu się tyłu bliźniaków. J. K.

**Zapomogi dla rzemieślników.** Dnia 4 listopada będą rozdane ku uczczeniu ś. p. Karola Szlenkera zapomogi z odsetek uzbieranych w ciągu roku od pieniędzy na ten cel przez jego rodzinę ofiarowanych. Zapomogi te przeznaczone są dla mężczyzn lub kobiet wyznania chrześcijańskiego, narodowości polskiej, zajmujących się rzemiosłem lub drobnym przemysłem, umiejących czytać i pisać po polsku, pracujących bądź na własnym, bądź też na cudzym. W pieniądzech będą rozdane tylko tym, którym przyznane zostaną na naukę rzemiosła lub na wydoskonalenie się w nim. Inni otrzymają zapomogi w gotowych już warsztatach, maszynach, narzędziach, lub potrzebnych robociznach. Kto chce starać się o zapomogę, winien własną ręką napisać o to podanie do rady komitetu warszawskiego Muzeum przemysłu i rolnictwa, wykazując w nim odrazu, co mu, jako rzemieślnikowi, jest potrzebne, i złożyć to podanie koniecznie sam, czyli osobiście, w kancelarji Muzeum do dnia 15-go września. Z tego pokazuje się, że o te zapomogi mogą starać się tylko rzemieślnicy mieszkający albo w samej Warszawie, albo niezbyt daleko od niej. Zdaleka przyjeżdżać po to do Warszawy nie opłaca się.

**Jarmark owocarski.** Towarzystwo Ogrodnicze warszawskie urządza i w tym roku, w jesieni, jarmark na owoce. Odbywać się on ma od 10 do 20 października w siedzibie Towarzystwa przy ulicy Bagateli pod liczbą 3 w Warszawie. Na jarmarku mogą być sprzedawane owoce świeże, ale tylko umiejętnie zebrane i przebrane, a także owoce suszone i różne z nich przetwory, prócz win. Kto z czytelników Gazety chciałby czego dostarczyć od siebie na jarmark, niech porozumie się wpieryw z Towarzystwem Ogrodniczym.

**Zakup ziemniaków.** W niektórych okolicach kupcy zagraniczni dają już zadatki na ziemniaki. W tych dniach w Płocku i we Włocławku zawarli oni umowy z gospodarzami co do kupna kilku tysięcy korcy ziemniaków po 2 r. 70 k. za kozec siedmio-pudowy z odbiorem na miejscu, wprost z pola.

**Przesyłanie paszportów.** Wydano rozporządzenie, aby paszporty i inne dowody osobiste nie były odtąd przesyłane przez policję. Urzędy gminne, policyjne i t. p. mogą teraz paszporty przysyłać darmo przez pocztę.

**Oszust z kroplami.** W okolicach Brześcia Kujawskiego zjawił się w pierwszej połowie lipca jakiś niby felczer i zachęcał ludzi do kupowania kropel, których miał duży zapas. Zachwalał je, jako niby pomocne na wszelkie cierpienia żołądka. Ludzie łatwowierni, szczególnie kobiety, kupowali, płacąc po 20 kopiejek za buteleczkę mieszczącą może pół kieliszka. Była to jakaś metna mieszanina o silnym zapachu pieprzu tureckiego i espelery, na buteleczkach zaś był napis: „Krople żołądkowe. Dr. Knajp. Poznań”. Kto tylko kupił te krople, każdy po jednej próbie cisnął je precz; a oszust nie wraca do tych samych wiosek, tylko gdzieindziej coraz to nowych nabywców szuka. Jest to mężczyzna lat może 30-tu, jasnowłosy, niewysoki, ubrany po miejsku. Niech mu się ludzie nie dadzą okpiwać.

W. K.

## W powrocie z Rzymu.

(Kościół Jasnogórski.—Ciąg dalszy).

W lewej nawie niedaleko od presbiterjum tkwi wysoko w górze kula działowa. Jest to, podobnie jak i owe kule w ścianie zewnętrznej, pamiątka oblężenia Jasnej Góry przez Szwedów i jej obrony.

Było to półtrzecia wieku temu, w roku 1655. Szwedzi z królem swym, Karolem-Gustawem, od północy z za morza Bałtyckiego przyszli i niemal cały kraj opanowali. Gdziekolwiek tylko próbowano jeszcze stawiać im opór.

W późnej już jesieni generał szwedzki Miller podszedł z wojskiem pod Częstochowę. Zakonnicy tamtejsi na Jasnej Górze z garstką ludu zgromadzonego nie chcieli mu się poddać, więc jego wojsko obległo klasztor przechwalając się, że taką słabą twierdzę zdobędzie jak kurnik. Ale jakże się ci Szwedzi zawiedli!

W klasztorze był przeorem ksiądz Augustyn Kordecki. Gorąca wiara, jaka w duszy jego płonęła, wielka miłość, cześć dla Najświętszej Panny, obawa, żeby Jej cudowny obraz wraz ze świątynią przez Nią umiłowaną nie dostał się do rąk protestantów, którzy Jej bluźnili, — wszystko to natchnęło go takim zapałem, taką mocą ducha, że przykładem i zachętą wszystkich do obrony zagrzewał, a w najtrudniejszych chwilach podtrzymywał, gorącą zaś, pełną żywój wiary modlitwą wyjednywał cudowną opiekę Najświętszej Maryji, która osłaniała Jasną Górę, strasząc szturmujących bluźnierców.

I odeszli Szwedzi ze wstydem. Tysiące ich żołdaków nie zmogły szczupłej garstki obrońców. Działa ich nie zburzyły murów warowni, którą ta Królowa Niebios łaską swą wzmacniała. Imię pokornego zakonnika stało się sławniejszym od imienia króla i wodzów szwedzkich. Pokora to jego własnie i cnoty, któremi bracia zakonnej przyświecał, sprawiły, że Bóg wybrał go za narzędzie do ocalenia kraju i pokonania bluźnierców. Pomnik, który mu przy kościele postawiono, i te kule w ścianach kościoła przypominają ludziom jego imię, potęgę jego wiary i modlitwy, i wiekopomny czyn, którego dokonał za sprawą Najświętszej Maryji Panny.

Wielkie i wspaniałe rzeczy opowiadałyby te mury, gdyby mówić mogły. Gdy wkoło był zamęt, tu trwała wiara niezachwiana, męstwo i ufność w pomoc Bożą. Gdy wkoło serca były niepewnością i trwogą, tu mężny zakonnik, a z nim i każdy ze znajdujących się w miejscu świętym obrońców powtarzał: „W Tobie, Panie, nadzieję położyłem i nie będę zawstydzony na wieki!”

Mury opowiadać nie mogą, jednak czasami uprzytomnia się tu dobre przeciwieństwo zamętu i spokoju. Wejść do tego kościoła, gdy, naprzykład, wychodzi procesja i biją we wszystkie dzwony. Fala ludu wypłynęła już na wały; słychać jeszcze nutę pieśni, ale coraz dalej, słabiej, — wreszcie ostatnie dźwięki cichną. W kościele tylko tu i ówdzie kłęczą ktoś pogrążony w modlitwie; na ołtarzu płoną spokojnie świece; w lampie zwieszającej się z pod stropu płomyk ani drgnie, żaden powiew nim nie zachwieje, — spokój, jak przystało na przybytek Boży, gdzie niema trwogi, bo tu mieszka Ten, który burze uśmierza i nawałnicom rozkazuje. A tam, zewnątrz, gwałtownie biją dzwony, jakby tysiące serc miotało się w trwodze i niepokoju, jakby tysiące

piersi drżących z przerażenia, zdyszanych, tłumiących w sobie zwątpienie i rozpacz tłukło się o te mury szukając w nich schronienia i pomocy. Zdaje się, że bicie tych serc, że dreszcz tych piersi strwożonych aż wstąpiła ścianami świątyni, — a tu spokój; z piersi ludzkich wznosi się westchnienie ulgi, ukojenia, z ust płyną ciche słowa wiary i ufności.

Z kościoła, blisko presbiterjum, wchodzi się do mrocznego kurytarza, z którego drzwi na prawo prowadzą do obszernej, wspaniałej zakrystji. Na lewo są schody na chóry i do Sali Rycerskiej, pośrodku zaś, naprzeciw wyjścia z kościoła, wejście do kaplicy cudownej Matki Boskiej.

Sala Rycerska jest to ogromna izba na piętrze, łącząca świątynię z klasztorem. W głębi jej bowiem znajduje się furta, za którą kurytarz i schody prowadzą do cel zakonnych. W przeciwnej stronie, naprzeciw wyjścia z kościoła, przez otwór w posadzce, ogrodzony barjerką, zstępuje się na szerokie schody kamienne wiodące na dół, do refektarza i na podwórze. Ściany Sali Rycerskiej ozdobione są malowidłami przedstawiającymi różne chwile pamiętne w dziejach Jasnej Góry; okna zaś niektóre wychodzą na zamknięte podwórko czy ogródek okolony murami klasztorne. W środku ogródka tego, otoczony zielenią krzewów i barwnym kwietnikiem stoi biały posąg N. Panny Jasnogórskiej z Dzieciątkiem na ręku.

Szczęśliwy, kto trafi na Jasną Górę w takim czasie, kiedy niema kompanij; w przeciwnym razie nietylko niemożna w tłoku spokojnie się pomodlić, ale ze smutkiem się spostrzega, że wielu ludzi nie pojmuje wcale świętości miejsca i celu, dla którego tu przybyli. Bo jakże się zachowują? Na ołtarzach porozkładali tobołki, na stopniach matki karmią dzieci, a co gorsza, nieraz i porządki przy nich robią, jak gdyby ołtarz był stołem lub ławką. Nie myślą o tem, że ołtarze zastępują groby męczenników, boć przecie w pierwszych wiekach chrześcijaństwa ofiara św. na takich grobach była odprawiana. I teraz w każdym ołtarzu znajdują się relikwie świętych. Ciż sami ludzie, którzy przed chwilą przechodząc przyklekali przed każdym ołtarzem, teraz nietylko ołtarza nie umieją uszanować, ale, co gorsza, obracają się plecami do N. Sakramentu, gdy ksiądz udziela na kościele Komunii św. Albo gdy inni kłęczą rzędami wzdłuż kościoła, a ksiądz idąc między temi rzędami udziela Komunii św., oni przepychają się koniecznie pomiędzy kłęczącymi, potrącając ich i pieszkadząc się modlić. „Czy wy już po odprawie?” pytają jeden drugiego, a to ma znaczyć: czy już po Komunii? — i natychmiast, nie podziękowawszy Bogu, z kościoła wychodzą. Co chwila też pluje ktoś na posadzkę, nie zważając, że tę samą posadzkę ktoś inny będzie potem całował, lub krzyżem na niej się położy. I wiele, wiele takich rzeczy rażących się widzi, choć przecie każdy powinien wiedzieć, jak należy zachować się w kościele, bo go ksiądz uczył tego jeszcze przed pierwszą spowiedzią. Dużo widać strasznie ciemnej dży z kompanjami tu przychodzi.

### Kaplica Matki Boskiej.

Z progu drzwi wiodących do kaplicy zstępujesz po kilku stopniach na dół, do mrocznej nawy, przed ołtarz znajdujący się tuż przy drzwiach na prawo. Podnosisz oczy.... W marmurówym czarnym obramowaniu ołtarza na tle srebrnej blachy krzyż, a z niego spogląda na ciebie Zbawiciel w wielkiej koronie ze złotych cierni. To cudowny Pan Jezus Jasnogór-



ski. Twarz ma zboląłą, zmienioną w okrutną męce, oczy zaszele łzami, usta otwarte. Spogląda na ciebie, a pod tobą mimowoli kolana się uginają.

O serce, czemu drżysz?

Czemu zachodzą łzy

me oczy?... Oto krzyż...

O Chryste! widzę go...

Tyś na nim rozpostarł Twe Boskie ramiona...

Już głowa Twa zwiśla... Twa pierś obnażona

ostatnie przed chwilą wydała już tchnienie,

w ostatnich łzach zgasło Twe boskie spójnienie;

już pierś Twą grot przeszył, i krew purpurowa

z pod serca się toczy...

O Krwi Chrystusowa,

Krwi czysta Baranka, co cierpiał bez winy!

Ty spływasz z tej rany jak świetne rubiny...

W świetle gromnic płonących na ołtarzu drogic kamienie otaczające ranę boku Chrystusowego krwawo połyskują; zdaje się, że to świeża krew kroplami się sączy.

Krzyż z postacią Pana Jezusa umieszczony w tym ołtarzu znajdował się dawniej w refektarzu czyli jadalni klasztornej. Jest o nim z owych czasów takie podanie: Zdarzyło się pewnego razu, że zakonnicy do późna w refektarzu zostawali. Zamiast ciszy głębokiej, jaka tam zwykle o takiej porze panuje, toczyła się ożywiona rozmowa. Nagle wśród gwaru głosów zabrzmiał donośny rozkaz: „*Silencium!*“ (milczcie!) Obecni w refektarzu spójrzeli po sobie, sądząc, że to jeden z nich przemówił. Po chwili rozmowa wszczęła się na nowo. I znów ten sam głos co poprzednio zawołał surowo: „*Silencium!*“ Powtórnie spójrzeli wszyscy po sobie ze zdziwieniem, nie mogąc zrozumieć, kto się odzywa. I jeszcze raz gwar napełnił refektarz klasztorny. Wtém po raz trzeci zabrzmiało surowe i groźne już tym razem „*Silencium!*“ Obecni zadrżeli. Głos płynął z góry, z tego miejsca, gdzie na ścianie wisiał wielki krzyż z postacią Zbawiciela. Podnoszą nań oczy... O cudzie! Usta Chrystusa, dotychczas zamknięte, teraz otwarte są widocznie na znak, że z nich to wyszło owo trzykrotne upomnienie. Zakonnicy trwogą i skruchą zjęci od tej pory zaprowadzili całkowitą odmianę życia, a cudowny krzyż z Panem Jezusem przeniesiony został do kaplicy, aby na zawsze przypominał tę uroczystą chwilę, gdy sam Chrystus Pan stanął w obrobie prawideł życia zakonnego.

Kaplica Matki Boskiej składa się z trzech naw. W głębi prawej bocznej jest dopiero co opisany ołtarz Pana Jezusa Ukrzyżowanego; w drugiej, lewej—ołtarz Matki Boskiej Bolesnej, bodaj naśladowanie rzeźby Michała-Anioła, znajdującej się w kościele Sw. Piotra w Rzymie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Świąteczni gazeciarze.

## Sosna przydrożna.

(Ciąg dalszy.)

Owi dwaj włościanie przy wozie w lesie byli z tej samej wsi, co i Michał Sierpniak, i zapytujący go o Jagnę Szubak. Przyjawszy się im bliżej, można było rozpoznać gospodarzy Wojciecha Walendę i Jana Dzieciołka. Siedzący zaś na wozie — to znany w całej okolicy Mendel, handlarz i faktor z najbliższego miasteczka, trudniący się bieganiną i jeźdzeniem za wszystkiemi, co się nadarza, przy czem da się grosz zyskać. On i gałganami w mieście ze śmietników zbieranymi, i jajami, i koźmi handlował, i różne inne spekulacje prowadził. Teraz przyjechał tu przed północą od stro-

ny granicy pruskiej, razem z Walendą, Dzieciołkiem i Szubakiem. A że trzeba było jeszcze przededniem przywieziony z Prus towar uprzętnąć i do następnej nocy ukryć, wysłali Szubaka do wsi, aby namówił i przyprowadził jeszcze jednego sąsiada do pomocy. Właśnie idąc do wsi, Szubak spotkał Sierpniaka na miodlitwie pod sosną, i myślał, że przyciśniętego biedą człowieka odrazu do udziału w przemyślnictwie namówi. Nie udało mu się to jednak i odebrało chęć iść z namową do wsi po innych, może tak samo napróżno. Wołał przytém, co prawda, mniej dzielić się z innymi zarobkiem, aby samemu zarobić więcej. Po pierwszej tedy daremnej dziś próbie wrócił do lasu.

— Nu? — zawołał Mendel, ujrzawszy wracającego Szubaka, — a co? prowadzi Wawrzon kogo? Już późno, wy tak marudziła, tu długo tak stać niemożna.

— E, niech się co chce dzieje! niema nikogo. Byłem u Michała, ale ani słuchać nie chciał.

— Aj-waj! — stęknął Mendel, i co prędzej zszedł z wozu, a szarpiąc za połę Szubaka, wypytywał prędko:

— Wawrzon! może wy jeszcze mówili, co i ja z wami? Aj-waj! nieszczęście!.. Co wyśta zrobili!.. Wy wieta, ten Sierpniak to głupi chłop, on wszystko powie podleśnemu. To stary rozbójnik, to kapcan! Ja od niego zeszyły tydzień kupiłem ostatnią kobyłę. On na mnie zły, co ja jemu nie chciałem dać tyle, ile on chciał. Ja jemu mówiłem, że ona ślepa i kulawa, a on mówił, co nieprawda. On teraz poleci i wszystko powie!..

Domawiając tych słów przyskoczył Mendel do Walendy i prosił:

— Wojciechu! najlepiej z tym furmanem zakreć się w głęboki las.

I nie czekając, sam schwycił lejce, wtknął je w ręce Walendy i wylekzionym głosem wołał na konie:

— Fur! Wojciechu! fur!..

Wóz zakreć tak, jak chciał Mendel, w głąb lasu, daleko od drogi, a idący za nim Dzieciołek i Szubak uspokajali Mendla.

— Oj, co to, to nie! — zekł Dzieciołek. — My znamy Sierpniaka, on ci pary z gęby nie wypuści. Zabij go, a on ci nie powie. Będzie gderał, jak to stary, ale co nie powie, to nie powie!

— A jeno! — dodał Walenda; — pamiętacie, kumie, jak to zjeżdżali w zeszłym roku nas śledzić? Sierpniak wiedział dobrze, ale ci ani krztyny nie gadał, tylko zapytany odpowiedział: „Bóg ich będzie sądzić, nie ja, ani moje dzieci.“

— O, co to! to to! — odezwał się Szubak, podnosząc głowę, jakby był dumny z dzieci Sierpniaka, w których tylko swoją Jagnę widział. — Sierpniak nie wyda, nie bójta się, Mendlu! A co mówił, że kobyła nie ślepa i nie kulawa, to mówił prawdę, bom ją sam widział, i wiem, ile była warta. Tylko że musiał pogrzeby wyprawiać, to i kobyłę sprzedał.

— Oj! co wy tyle gadata o tym głupim Sierpniaku, — odpowiedział uspokojony Mendel; — tu tżać myśleć o chlebie!

Wzięli się trzej włościanie do roboty. Każdy wziął na plecy porządny ciężar i w rękę jeszcze coś dźwigał.

— A jak będzie z powrotem? — odezwał się Dzieciołek. — Djabli cię, Mendlu, tak daleko w las zapędzili, a tu ciemno jest, trudno będzie wracając wymiarkować, gdzie stojisz...

— A prawda! — odezwali się drudzy, — jak tu po nocy napowrót trafimy? Nawoływać to nijako po lesie, bo jeszcze gajowi wypadną.

— Owa! — pędził Mendel językiem jak oparzony, — słuchajta chłopcy, co ja wam powiem! Na co jemu wołać jak u was, co to zaraz paskudny zwyczaj, na całe gardziel krzyżeć: hop! hop! co aż te sosny z kozeniem sobie tżesie, a wszystkie psy we wsi z podkulonym ogonem uciekają do budy, bo miśla, co wilk z lasu idzie. Ja wam co powiem! Jak wy odniesieta te tobołki, wy wieta, gdzie? tam do miasta, do mojego krewnego, to wy jak będzietta wracać i stanietta na krzyżowych drogach, to wy sobie udajta ptaka!..

— Jakiego ptaka? — zawołałi wszyscy, — gadaj prędzej, bo tak stać ciężko!

Mendel przeskakiwał z nogi na nogę i wymachiwał rękoma, nie umiał jednak nazwać ptaka, którego głos kazał naśladować.

— Aj! co wy takie głupie? — mówił coraz prędzej, — wy nie wieta, jaki ptak, co sobie najlepiej śpiewa, tak krótko? On sobie tak śpiewa: ku-ku!

Wszystkim się zdało, że to nie Mendel taki głos wydał, ale że kukułka przed nosem im przeleciała.

— A to nie wiesz! — zawołałi wszyscy, — że to kukułka?

— Kukułka! kukułka! — klasnął Mendel w ręce i aż podskoczył. — Ja sobie będę odzywać jak kukułka, i wy tam z powrotem zawołajcie na drodze tak samo. Ale czy wy umietta tak śpiewać jak kukułka? Spróbujta teraz wy, Wojciechu, tak zaśpiewać: ku-ku!

— Już ty się nie frasuj, i mnie nie ucz kukać! — odezwał się Walenda.

Ale w duszy i Walenda sam, i nawet wszyscy trzej pomyśleli, że tak doskonale, jak Mendel, żaden z nich chyba nie kuknie.

Puścili się chłopci ostróżnie z ciężarami, a przez drogę rozmawiali pocichu, „jaka to mądra juda ten Mendel“, jakie on hasło wymyślił; takim sposobem dojdą pociemku do wozu w lesie i nie ściągną na siebie podejżenia.

Obrócili już raz, i szczęśliwie znaleźli się z powrotem na krzyżujących się drogach. Trzeba było tylko zakukać, bo do Mendla nijak inaczej by nie trafili, choć już szarzeć zaczynało. Drapał się Dzieciołek i Szubak po głowie, który z nich zakuka. Ale Walenda pierwszy spróbował i głośno zakukał. Wszystkim się jednak jakoś inaczej wydało kukanie, coś nie tak jak Mendel. Za to z lasu doleciał ich zaraz jakby prawdziwy głos kukułki. Idąc w stronę tego kukania wszyscy trzej znów się przy wozie znaleźli.

— No, co tam? szczęśliwie? — pyta Mendel, a zwracając się do Walendy mówi: — Słuchajta, Wojciechu! to pewno wy swoim chrapliwym głosem kukali? To nie tak! konie sobie strachnęły; dobrze co wóz o drzewo zawadził, bo one już naoslep chciały lecieć.

— A już wy tam mnie nie uczie! — odpowiedział Walenda, któremu jakoś nie do smaku było ptaka przedrzeźniać. — Licho was wie, czy jaki djabeł w was nie siedzi, kiedy tak kukacie.

Roześmiał się Mendel na cały głos, palną ręką Walendę w plecy, i palcem w górę wskazując, tak przemówił:

— Oj! Wojciechu! co wy taki jeszcze głupi chłop? Widzieliśta kiedy djabełta? co? Ja was nie ucę, tylko mówię, co wam trzeba śpiewać tak cienko: ku-ku!

I znów się wieśniakom wydało, jakby kukułka nad głowami ich przeleciała.

— A bodajcie wciórności! — zawołał Dzieciołek. — Już to z nas żaden tak nie potrafi.



I powtórnie puścili się z ciężarami do miasta Szubak, Dzieciółek i Walenda.

Po drodze Walenda sobie rozmyślał, aż nareszcie do towarzyszy się odezwał:

— Wiecie co, to chyba nie sam Mendel, jeno nieczysty duch przez niego tak kuka. Toć człek ma taką samą gębę i jezora, a przecie tak kukulki nie uda. Jeszcze mi, psia para, w uszach ciągiem jakby kuka.

— E! co wy tam gadacie, kumie! — odezwał się Dzieciółek. — Zwyczajnie, jak żyd, do różnych rzeczy sprytny. A że wy takiej gęby i jezora nie mata, to wiadomo! On zre jeno cebulę, a wy pijeta wódkę jak wodę, to wam i w gardzieli zachrypło.

— Ano! juźci. — odrzekł Walenda; — ale ja wam powiadam, że z tym Mendlem to sam djabeł nam drogę zachodzi.

Gawędzili tak idąc, Walenda z Dzieciółkiem, aż znaleźli się wszyscy trzej w polu prawie pustym, jeno gdzieniegdzie pokrytym zaroślami.

Szubak nie się nie odzywa, tylko patrzy przed siebie. Naraz wydobyl nóż, kozikiem nazywany, otworzył go i poprzecinał sznury, któremi miał przywiązany toból na plecach. Cisnął wszystko i w nogi! napowrót do lasu. Trwało to tyle, co jedno tchnienie.

Walenda i Dzieciółek zgłupieli, i nim zdążyli się opamiętać, ujrzeli trzech objezdzyków, czyli strażników granicznych, pędzących konno wprost na nich.

Porzucając paki, zaczęli też uciekać, co tchu starczyło. Dzieciółek potknął się o kamień i upadł. Walenda uciekał jeszcze, aż nareszcie siły go opuściły. Obaj zostali złapani, związani i do wsi powleczeni.

Pędzili strażnicy Dzieciółka i Walendę, koło dworku pod lasem. Obaj rzucili okiem na ten dom i przypomnieli sobie przestrogi podłego. Ścisnęło im się serce: przestrogi się spełniły.

(Co było dalej — podamy za tydzień.)

Wacław Żu.

## GOSPODARSTWO.

### Pszemica po grochu.

Mam 2 morgi ziemi od dawna nienawożonej. Ziemia mocna: udaje się pszemica i buraki cukrowe. Na wiosnę rozsiałem kainit i żuźle, po 4 centnary na morg, i posiałem groch. Czy można na tej ziemi, dodawszy superfosfatu amonjakalnego, siać na zimę pszemice? Gleba składa się z piasku i gliny (szcherk); w podglebiu glina.

Li. Pez.

Jeśli tylko groch, zasiany na żuźlach i kainicie, udał się i wyrósł dobrze, to pszemica zasiana po nim na superfosfacie amonjakalnym także udać się powinna. Groch bowiem, jako roślina dobrze ocieniająca ziemię i gromadząca azot z powietrza, przyczynia się do należytego wzbogacenia gruntu. Pszemica znajdzie tu wszystkie warunki dogodnie do swego rozwoju, i, byle tylko rok był odpowiedni, powinna dać zbiór obfity.

A. S.

### Zarybianie jezior.

(Ciąg dalszy.)

Oprócz popzednio wymienionych, są jeszcze i inne gatunki ryb przydatne do hodowli w jeziorach. Jedną z takich jest *Lipień właściwy* (*Thymallus vexillifer*).

Lipień znajduje się we wszystkich rzekach i jeziorach całej środkowej Europy. Lud nazywa go Toporkiem, a to dlatego,

że jego wątroba ma niby kształt toporka. Żywi się owadami, młodemmi mięczakami, rybkami, a nawet ikra niektórych ryb. Rośnie sporo, dochodzi 18 cali długości, i waży często przeszło 4 funty. W jesieni płynie do wielkich rzek, a z rzek do morza, zkad na wiosnę powraca znowu do rzek i strumieni. Mięso ma bardzo smaczne, szczególnie zimową porą; w jesieni bardzo tłuste, ale zawsze łatwe do strawienia. Niektórzy dowodzą, że tłustość jego spędza plamy z ciała, a nawet znaki po ospie. Nie rozmnaża się obficie, bo jest delikatny, a przytęm ptaki drapieżne, dla których jest prawdziwym przysmakiem, chciwie go chwytają. Wyjęty z wody, a nawet w stojącą lub mętną wodę wpuszczony, prędko śnie. W jeziorach nie trzyma się nigdy na głębinie, tylko przy brzegach. Poławiają go zwykle zimową porą podczas burzy, bo wtedy najlepiej jest zaciągać sieci. Tarło odbywa w kwietniu lub maju, zwykle przy płaskich brzegach rzek. Jako osobliwość, wspomnieć jeszcze należy, że mięso lipienia wydziela czasami przyjemny zapach, zapewne pochodzący z owadów, któremi ryba się żywi.

Należy tu jeszcze wymienić *prąga tęczowego*, który bardzo nadaje się do hodowli w jeziorach.

Byłoby to bardzo pożądanym, aby jeziora, których mamy tak wiele, zarybione zostały rybami łososiowatymi. Ale niełatwo do tego doprowadzić, gdyż ryby tej rodziny są bardzo delikatne i dalekiego przewożenia nie wytrzymują. Zamysłowani jednak hodowcy ryb wynaleźli na to sposób: oto zapładniają sztucznie ikre, czyli jajka rybie, i wychowują młode zarybki w każdej miejscowości. Przekonano się bowiem, że chociaż trudno jest przesyłać zarybki na dalsze odległości, to jednak ikra w pewnym stanie rozwoju wytrzymuje dalekie podróże. Gdy to zbadano, w wielu krajach powstały zakłady hodowli ryb łososiowatych, gdzie sztucznie zapładniają ikre i dochowują do tego stopnia rozwoju, w którym jest najwytrzymałsza na podróż. Wtedy ją rozsyłają na żądanie nieraz do bardzo dalekich krajów. Takież zakład otwarty został w roku 1860 w Nikolsku. W kilka lat potem przeszedł na własność rządu i dotąd zajmuje się sztucznym zapładnianiem ikry ryb łososiowatych i sprzedają ją po cenie bardzo umiarkowanej. Jest także kilka takich zakładów w Finlandji, w Galicji, ale najslawniejszy znajduje się w Hunningen, w Alzacji.

Sprawozdaną ikre wkładają do przyządów wylęgowych, w których odpowiednio pielęgnuje się aż do wylęzenia.

Niejednemu się zdaje, że założenie wylęgarni ryb wymaga wielkich kosztów i nakładów. Tymczasem wcale tak nie jest. Nawet do wylęzenia setek tysięcy jaj wystarcza izba średniej wielkości. Kto zaś chce mieć zarybki na własną tylko potrzebę, temu wystarczy niewielki kącik, a urządzenie będzie kosztowało bardzo niewiele.

Wylęgarnia urządza się w miejscu chłodnym, bezpiecznym od mrozu, gdzie jest przytęm ciągły dopływ wody przynajmniej o jakie 2 łokcie nad podłogą. Lepiej gdy spadek jest większy. Nadto miejsce winno być takie, aby zużyta wodę można było odprowadzać. Dobre oświetlenie oknami nie jest konieczne potrzebne. Gdy jest za ciemno, aby odróżnić jajka zmarłe, można zastąpić światło dzienne lampą lub świecą. Jeżeli zaś są okna, to trzeba je zasłaniać, aby o-

chronić ikre od promieni słonecznych, działających na nią szkodliwie.

(Dokończenie nastąpi.)

A. Strzelecki.

## Listy do Gazety Świątecznej.

Ze wsi Sadownego, w powiecie węgrowskim, gub. siedleckiej.

Zamiar budowania kościoła. — Pzeszkody.

Sadowne leży o 30 wiorst od Węgrowska, od Łochowa zaś, gdzie jest najbliższa poczta, o wiorst 17. Należy do dekanatu Węgrowskiego, djecezji zaś Warszawskiej. Jest tu kościół parafjalny drewniany, sąd gminny pierwszego okręgu i urząd gminny. Parafja tutaj istnieje od roku 1529-go. Pierwotnie była we wsi Rażnach, ale w roku 1748 przeniesiona została do Sadownego. Graniczy z parafjami: Stoczkiem, Kamieńczykiem i Prostynią, a na północy rzeka Bug odziela ją od gubernji łomżyńskiej. Ma obecnie 6 tysięcy ludności i 8677 morgów obszaru. Do parafji Sadownego należała dawniej gmina Płatkownica, a w niej wsie Ocięte, Płatkownica, Podbojany, Sadoles, Sójkówka i Zajezerze, zamieszkałe przez „kolonistów“ czyli osadników Niemców. Obecnie wśród tych Niemców jest już trzecia część Polaków.

W parafji przebywa stale dwóch księży, co na sześciotysięczną ludność jest za mało. Kościół jest drewniany, bardzo lichy i szczupły. Za staraniem księdza proboszcza na zebraniu parafjalnym uchwalono zbudować nowy kościół murywany. Sporządzono plany, posłano je do zatwierdzenia i zaczęto sprowadzać robio na fundamenty i cegłę. Początek był dobry, ale nie początek, lecz dopiero koniec dzieła chwali. Ponieważ parafja zamieszkała jest przez ludzi z rozmaitych stron (niektórzy osiedli tu pono jeszcze po wojnach Napoleońskich), więc brak zgody i jedności. Zamiast wspólnie dążyć do wzniesienia kościoła, zaczęli krzyżać ze wszystkich stron. Istnieje tu siedem szkółek, ale pokazało się, że ludzie z nich nie wychodzą bardzo mądzy, boć kto zbyt krzyży, ten mądry nie jest. Zaczęli robić pokatne zabiegi, a nawet podania, i zniechęcili księdza proboszcza do dalszego działania. I cóż dziwnego, że się zniechęcił, kiedy z nastaniem wiosny zamiast brać się żywo do pracy, cegłę nakryli dachem, a budowę kościoła zdali na Opatzność Boską.

Nie wątpimy jednak, że kościół u nas stanie, że parafjanie sami rozumieją, iż w sprawach tak ważnych nie godzi się myśleć o sobie, nie godzi się dla własnej korzyści, dla własnych upodobań lub niechęci stawać na przeszkodzie temu, co ma być wykonane na chwałę Bożą i dla dobra ogółu.

A. K.

## Nowinki telegraficzne.

### Wojna rossyjsko-japońska.

Po ostatnim dniu lipca i pierwszym sierpnia, kiedy to były duże bitwy w Mandzurji, na południu i na wschodzie od miasta Laojanu, po których Japończycy zajęli miasto Hajzen, i z obu stron, od południa i wschodu, posunęli się do miejsc o mil pięć lub cztery od Laojanu oddalonych, nastąpiła tam jaka-taka cisza, trzy tygodnie zgórą trwająca. Pochodom wojsk stały na przeszkodzie deszcze, błota i drogi popsute. Może też obie strony odpoczywając wzmacniały



swe siły i sposobily się do dalszych bojów, Rossjanie w Laojanie i jego okolicach, a Japończycy na nowych stanowiskach. Były i w tym czasie bitwy znaczne i krwawe, ale o kilkadziesiąt mil ztamtąd, pod samym Portem Artura i na morzu. Aż teraz Japończycy i tam, w Mandżurji, ruszyli nagle na stanowiska zajmowane przez wojska rossyjskie, i walcząc posunęli się półkolem z różnych stron pod Laojan, główną siedzibę jenerała Kuropatkina, naczelnego woźdza wojsk rossyjskich. Nowiny o tém są następujące.

*Petersburg, d. 26.* Jenerał Kuropatkin donosi Najjaśniejszemu Panu: We środę 24 sierpnia jeden bataljon japoński doszedł do wsi Laoditanu (o parę mil na północo-wschód od miasta Hajczenu, a na południo-wschodzie od Laojanu, które zobacz na mapce w Gazecie 1228), i uderzył na oddział rossyjski. Japończyków powstrzymała jedna rota, utraciwszy pięciu żołnierzy ranionych. — Tegoż dnia dwa niewielkie oddziały rossyjskie opierały się natarciu większych sił nieprzyjacielskich pod Tunsipem, o milę od Landiasianu, który leży o mil 5 na wschód od Laojanu, na połowie drogi ztamtąd do Modulina (zobacz na téjże mapce). Gdy na pomoc Rossjanom przyszło więcej wojska, Japończycy przestali napadać. W starciu tém raniono i zabito 53 żołnierzy rossyjskich i jednego oficera. Wieczorem Japończycy wyparli przednie strażyskie stojące na wzgórzu, na południu od Landiasianu, i wzięli się do wznoszenia tam okopów dla siebie. Nazajutrz, we czwartek 25 sierpnia, wojsko japońskie, około dwóch pułków piechoty z czterema baterjami armat, ruszyło doliną rzeczki ku stronie zachodniej od Landiasianu, do Tunsipu i Tasintunu, i uderzyło na dwa nieduże oddziały rossyjskie. Oba te oddziały cofnęły się ze swych stanowisk. Jeden z idących na przedzie oddziałów japońskich dostał się pod strzały armat rossyjskich i cofnął się, straciwszy, jak się zdaje, dużo ludzi. Naprzeciwko Landiasianu Japończycy ustawili zrana dwie baterje armat i walili z nich do stanowisk rossyjskich, z których odpowiadano również strzelaniem z armat; było ono tak celne, że jedną baterję japońską zmuszono do milczenia. Lecz około godziny 11-jej przed południem oddziałowi rossyjskiemu rozkazano odejść z przedniego stanowiska na główne, będące bliżej Laojanu. Piechota japońska zajęła Landiasian z okolicą i pobliskie wzgórza pokryte lasem. Około południa Japończycy w Tasintunie ustawili 36 armat, a w pobliskiej miejscowości Erdachu zgromadzili około dywizji piechoty z 4 baterjami. Do godziny 5-jej po południu stwierdzono, że na stanowiska rossyjskie pod Landiasianem, broniące głównej od wschodu drogi do Laojanu, uderzyły co najmniej dwie dywizje piechoty japońskiej i 10 baterj armat. Straty Rossjan w dniu 25 sierpnia wynoszą około stu zabitych i ranionych. Noc z czwartku na piątek przeszła spokojnie.

— *D. 27.* Telegram jenerała Sacharowa do głównego sztabu wojsk w Petersburgu: Wczoraj, w piątek 26 sierpnia, japończycy zaczęli naraz z różnych stron uderzać na wojska rossyjskie strzegące dróg do Laojanu ze wschodu, z południa i zachodu. Lewy koniec wojsk japońskich (jenerała Oku) zajął wczesnym rankiem trzy wsie na zachodzie od drogi żelaznej pomiędzy Hajczenem a Ajsańdzianiem (zobacz na mapie w Gazecie 1228), wyparłszy ztamtąd przednie strażyskie rossyjskie. Około południa jednak przestali tam Japończycy posuwać się dalej. — Na woj-

ska rossyjskie pod Ajsańdzianiem ruszyło o świcie około półtoręj dywizji wojsk japońskich, piechoty z armatami. Pod naciskiem tych sił Rossjanie odeszli z Ajsańdziania na północ, na główne stanowiska pod Laojanem. Natarcie Japończyków od strony południowej nie było jednak bardzo gwałtowne. Straty wojska rossyjskiego w zabitych i ranionych dochodzą tam do 150 ludzi. — W stronie wschodniej od Laojanu, nieco na południe, walka w piątek rozpoczęła się o godzinie pół do szóstej rano. Tam dwa bataljony Japończyków idące naprzód odparto. Około godziny 11-jej przed południem celne strzały armat rossyjskich zmusiły do milczenia baterję japońską pod Tunsipem, składającą się z 20 armat. Obsługa téj baterji rozbiegła się. Starali się Japończycy zabrać te armaty, ale nie mogli do nich przystąpić, bo kule wybuchające z armat rossyjskich padały jak grad. W téj stronie, pod Laoditanem, odparto wszystkie napady Japończyków. Wojsko rossyjskie utraciło tutaj około 300 ludzi. — W stronie wschodniej (gdzie Japończykami dowodził Kuroki) bitwa w piątek rozpoczęła się o świcie. Tam walka była bardzo zawzięta. Japończycy uderzali nie strzelając, ale rzucając się naprzód i walcząc bagnetami. Wojsko rossyjskie pozuciło stanowiska przednie, które okazały się niedogodnymi dla armat, i odeszło na zachód, na stanowiska główne. Rossjanie utracili tam około tysiąca ludzi. Od południa w Laojanie i okolicach zaczął padać dość duży deszcz. Woda w rzekach wzbierała.

— *D. 29.* Drugi telegram od jenerała Sacharowa do głównego sztabu:

W stronie południowej od Laojanu podczas bitwy w piątek (26 sierpnia) rossyjskie wojska przednie cofały się pomalą, zadržując się na obwarowanych stanowiskach pod Ajsańdzianiem. Bitwa ustała dopiero około godziny 6-jej wieczorem. Ogólne straty walczących w tamtéj stronie Rossjan wynoszą około 200 ludzi. Nocą wszystkie oddziały przednie odeszły w tył, bliżej Laojanu, na stanowiska główne. Japończyków napierających było tam około 5 dywizyj.

W stronie południowo-wschodniej od Laojanu wojsko rossyjskie odparto wszystkie natarcia Japończyków. Rossjanie utracili tam do 400 ludzi.

Najzaciętsza bitwa była na wschodzie od Laojanu, pod Anpinem i Cegovem (miejsca te leżą na północy od głównej drogi wiodącej z Laojanu na wschód, do Modulina, Fynhvanczena i rzeki Jalu. Anpin leży o 3 mile od Laojanu, na drodze z niego do Siasyru). Rossjanie mężnie i wytrwale odpierali tam silniejszego liczbą przeciwnika. Walka dochodziła do bitwy na bagnety. Wielu oficerów jest poranionych bagnetami, szabłami japońskimi i kulami z rewolwerów. Wkońcu Rossjanie odeszli ztamtąd na stanowiska główne, bliżej Laojanu. Pułk tambowski trzymał się pod Cegovem od godziny 1-jej w nocy do 4-jej po południu i odparł bagnetami wszystkie natarcia Japończyków. Dowódca pułku, Kłębowski, został raniony. Wreszcie pod ogniem armat japońskich, ustawionych na pobliskim wzgórzu, bojąc się, żeby go Japończycy nie otoczyli, pułk tambowski cofnął się w zupełnym porządku, pozuciwszy 6 obalonych armat. Japończycy nacierali z nadzwyczajną zaciętkością. Jeden raniony oficer japoński, którego wzięto do niewoli, gdy mu lekarz rany opatrzył, wyrwał się z rąk dozorców i roztłaskał sobie głowę o kamienie. Ros-

sjanie zabrali Japończykom znaczną ilość broni i osłon na głowy. Straty walczących w tamtéj stronie oddziałów rossyjskich nie są jeszcze dokładnie obliczone, ale zabitych i ranionych jest więcej niż półtora tysiąca. Po długiej i zawziętej bitwie wojsko jednak pozostało rzeskie. Nocą ciemną podczas ulewnej deszczu, po grzązkiem błocie odchodziło ono na zachód w zupełnym porządku, przyczem grała muzyka.

*Laojan, d. 29.* Dziś (w poniedziałek) zrana w stronie południowej rozpoczęła się znowu walka na armaty. Japończycy nie idą jednak dziś dalej naprzód, i, zdaje się, dopiero przygotowują się do bitwy. Wczoraj, skutkiem popsucia się od ulewy dróg, straż tylna wojska rossyjskiego z winy wlokących się zbyt wolno wozów z żywnością i innymi zapasami, została wciągnięta w dość poważną bitwę. Jenerał Rutkowski i pułkownik Raben zostali zabici.

*Mukden, d. 29.* (T. A. H.) Ranieni oficerowie rossyjscy przywiezieni z Laojanu opowiadają o doskonałym spisaniu się artylerji rossyjskiej pod Tunsipem, na wschodzie od Laojanu. Strzały jęj armat miotane w 20 armat japońskich ustawionych na wzgórzu pozabijały lub rozpełdziły ludzi przy nich będących. Rossjanie szli już te armaty zabrać, ale nie mogli do nich dojść, ponieważ mała struga, przez którą by przejść musieli, nagle po ulewie zamieniła się w dużą i głęboką rzekę.

*Tokjo, d. 29.* Naczelne dowództwo nad trzema wojskami japońskimi (jenerałów Oku, Nodzu i Kurokiego), które otaczają półkolem miasto Laojan i walczą przeciw siłom rossyjskim jenerała Kuropatkina, objął stary Ojama. — Jenerał Oku stoi pod Ajsańdzianiem, jenerał Kuroki pod Anpinem, a jenerał Nodzu gdzieś między nimi. Na zachód od Laojanu poszło czwarte wojsko japońskie pod dowództwem jenerała Fuszymy. Posuwa się ono z południa na północ wzdłuż rzeki Laohe (na mapach w Gazecie 1228 i 1215 dobrze ją widać).

*Tokjo, d. 29.* Japończycy zajęli w niedzielę, 28 sierpnia, Ajsańdzian, stację kolejową, o trzy mile, na południu od Laojanu, i miejscowość Anpin, również o 3 mile, na wschodzie od tego miasta.

*Tokjo, d. 30.* (T. Ag. Ros.) W bitwie dla zajęcia stanowisk pod Anpinem (o trzy mile na wschodzie od Laojanu) Japończycy utracili dwa tysiące ludzi zabitych i ranionych. Straty przeciwnej strony były tam bardzo wielkie.

*Petersburg, d. 30 sierpnia.* Jenerał Sacharow donosi głównemu sztabowi: W poniedziałek dnia 29 sierpnia po południu nieprzyjaciel, ustawivszy armaty na wzgórzach o 12 wiorst na południo-wschodzie od Laojanu, zaczął strzelać z nich do stanowisk wojsk rossyjskich pod tém miastem. Strzelanie to trwało do wieczora.

Nocą zaś z poniedziałku na wtorek Japończycy ustawili mnóstwo armat naprzeciwko wszystkich stanowisk rossyjskich pod Laojanem i od samego świtu zaczęli z nich strzelać. Ogień swych dział starają się najbardziej kierować ku środkowi stanowisk rossyjskich. Straty od ich szrapneli (kul, które doleciawszy do celu wybuchają ogniem i mnóstwem kulek małych, bijących na wszystkie strony) w niektórych oddziałach są dość duże. Zabity został dowódca baterji armat Pokatilo.

*Laojan, d. 30 sierpnia.* Dziś, we wtorek, od godziny czwartej rano rozpoczęła się wielka bitwa pod samym Laojanem. Działa i strzelby grzmiały wszędzie dookoła.



Góry w okolicy miasta wyglądają jakby wulkany buchające ogniem. Bitwa rozwinęła się na przestrzeni dwóch mil (14 wiorst). Wojska walczące z obu stron razem obliczają na pół miliona ludzi.

— *D. 31 sierpnia.* Jenerał Sacharow telegrafuje dalej z Laojanu do głównego sztabu.

W poniedziałek 30 września Japończycy od godziny piątej rano do dziewiątej wieczorem uderzali na przednie stanowiska Rossjan pod Laojanem na południowym brzegu rzeki Tajcy (na tym samym, na którym leży miasto Laojan). Liczne napady Japończyków wszędzie były odparte. Rossjanie napadali na nich nawzajem. Walczono i na bagnety. Niektóre miejsca, zdobyte podczas bitwy przez Japończyków, pod koniec dnia przeszły znowu w nasze ręce. Rossyjskie baterje z powodzeniem walczyły z armatami japońskimi. Przed wieczorem spostrzeżono, że znaczne siły japońskie chcą zejść tył prawemu końcowi wojsk rossyjskich. Więc posłano na nie bataljony z wojsk stojących z tyłu w odwodzie. Niektóre z nich zaszyły z tyłu Japończyków, i po gorącej bitwie powstrzymano ich napad. Japończycy zmuszeni byli do odwrotu. Bitwa trwała jeszcze w ciemności nocnej do godziny 9-jej. Wojsko trzyma się rzeźko. Oznajmiono całemu wojsku, że bohaterska załoga w Porcie Artura odparła wszystkie napady Japończyków. Wojsko słuchało tego z radością i duch jego ożywiony został chęcią dorównania towarzyszom w Porcie Artura. Straty nasze jeszcze nie obliczone, wynoszą około trzech tysięcy ludzi.

*Laojan, d. 1 września.* Huk armat ucił w wtorek o godzinie 10 wieczorem. Ale o godz. 12 rozległ się nanowo, a we środę o godz. drugiej po południu był najstraszniejszy. Armaty grzmiały niustannie, wymierzone głównie przeciw wojskom walczącym w stronie południowej od miasta. Japończycy napadli na pułk Tzynasty. Ten pułk rzucił się na Japończyków walcząc bagnetami i przełamał ich szeregi. Ale Japończycy zapalili Rossjan gradem kul. Szczególniej odznaczyła się rota dziesiąta.

*Mukden, d. 1 września* (Mukden leży na północy od Laojanu, o 9 mil naszych od niego). Od wtorku rana do dziś, to jest do czwartku dnia 1 września, słychać tu w Mukdenie bez ustanku huk dział od strony Laojanu. Mówią, że Japończycy usiłują przeprowić się na północny brzeg rzeki Tajcy. Bitwa pod Laojanem trwała przez cały wtorek i całą środę. Dziś walczą tam trzeci dzień.

*Czyfu, d. 28.* (T. A. H.) O położeniu obleżonego Portu Artura donoszą ludzie wiarogodni, że na wschodzie od tego miasta i warowni Japończycy zajęli całą przestrzeń od góry Daguszanu do gór Wilczych. Od samego miasta miejsca te oddalone są o wiorst 5 lub 6. Ustawiono tam około 300 wielkich armat obleżniczych, a prócz nich jeszcze mniejsze, polowe. Na zachodzie zajmują oni zatokę Gołębią i kilka zdobytych obwarowań, z których najbliższym samego Portu Artura jest Itszan. Ale ztąd iść na zdobywanie obwarowań miasta nie mogą, gdyż pod ziemią jest mnóstwo pozakładanych buchadeł. Mogą tylko z Itszana i innych obwarowań walić z armat w miasto i w otaczające je bliższe obwarowania, zajęte dotąd przez Rossjan.

Ludzie wysyłani przez Japończyków wkradają się pod miasto i do miasta,

aby wypatrzeć i poprzecinać druty poprowadzone ztamtąd do buchadeł podziemnych, a służące do ich zapalania i wzniesienia wybuchów zapomocą iskry elektrycznej. Od takich wybuchów mnóstwo już Japończyków zginęło. Podobno oni sami przyznają, że utracili już pod Portem Artura 15, czy nawet 18 tysięcy ludzi zabitych i ranionych. Liczbę ranionych w Porcie Artura żołnierzy rossyjskich podają na 5, a inni na 7 tysięcy.

— *D. 29.* Nadeszła tu wiadomość, że Japończycy po 6-godzinnej zażartej walce zdobyli na wschodzie od Portu Artura bardzo ważne obwarowanie, zwane „fort piątą”. Mimo to sami oni nie spodziewają się, aby do samego Portu Artura rychło dostać się mogli. Miotanie z różnych armat bomb do wnętrza miasta odbywa się codziennie. Wpada ich tam i wybucha po sto kilkadziesiąt na dzień.

*Petersburg, d. 26.* Najpoddanejsze doniesienie, przesłane Jego Cesarskiej Mości przez dowódcę okrętu wojennego „Nowika”. — W bitwie na morzu dnia 10 sierpnia krążownik „Nowik” został w trzech miejscach przebity, ale ponad wodą. Więc płynąc szybko przerznął się pomiędzy okrętami japońskimi razem z drugim krążownikiem „Askoldem”. Ten jednak z powodu mgły i popsucia się maszyny pozostał z tyłu i znikł mi z oczu. Na drugi dzień „Nowik” wpłynął do Kiaoczu (przystani okrętów niemieckich w Chinach), aby nabrać węgla kamiennych na drogę. Potem wyruszywszy ztamtąd, ominął dnia 16 sierpnia południowy koniec Japońji i okrążył cały ten kraj dążąc do Władywostoku. Opłynawszy Japońję od strony wschodniej i północnej, dnia 20 sierpnia „Nowik” wszedł do rossyjskiej przystani Korsakowa na południowym końcu wyspy Sachalina, i tam znowu nabrał węgla. Ale odpływając ztamtąd ujrzawszy zbliżający się okręt japoński. Stoczyłem z nim bitwę na morzu, która trwała trzy kwadransy. „Nowik” został znowu podziurawiony w trzech miejscach pod wodą, a w dwóch nad wodą, a tył okrętu ze sterem pochylił się napół zatopiony. Okręt japoński doznał też uszkodzeń, i, cofnąwszy się, posyłał swoim jakieś znaki za pomocą telegrafu powietrznego, bez drutu. „Nowik” więc wrócił do przystani Korsakowa. Zamieślałem naprawić go, o ile się da, i nocą odpłynąć do Władywostoku. Ponieważ jednak naprawić go tam nie było można, a ze świateł na morzu było widoczne, że jest więcej okrętów nieprzyjacielskich, więc na niegłębskiej wodzie „Nowik” zatopiłem (aby Japończycy go nie zabrali). Oficerów, żołnierzy i mienie przewieziono na brzeg Sachalinu. Nazajutrz okręt japoński podpłynawszy do przystani walił z armat w wystającą z wody część „Nowika”.

W bitwie dnia 10 sierpnia, niedaleko Portu Artura, zabito na „Nowiku” dwóch żołnierzy i raniono lekko lekarza, a dnia 20 sierpnia pod Sachalinem poległo na nim również 2 żołnierzy, raniono zaś 1 oficera i 16 żołnierzy.

— *D. 26.* Podadmiral Uchtomski najpoddanejszemu Panu o bitwie na morzu dnia 10 sierpnia, pisze: Biorąc (skutkiem śmierci admirała Withefta) dowództwo na siebie, lecz mając na moim pancerniku „Pereświcie” wszystkie przyrządy do dawania znaków pogniszczonych, przywiązałem do poręczy na mostku znak z rozkazem: „płynąć za

mną”. Sądzę, że nie wszystkie okręty go dostzegły. Mając na okręcie wielu zabitych, ranionych i duże szkody w armatach, w przyrządach elektrycznych i w samym pudle statku, postanowiłem wracać do Portu Artura. Za mną (za „Pereświtem”) płynęły zrazu pancerniki — Retwizan, Pobieda, Połtawa, Sewastopol, i Cesarzewicz, — a z krążowników Pallada. Lecz Cesarzewicz płynął niebardzo prędko, a buchadłowce japońskie napadały, więc unikając buchadeł okręty musiały wciąż zbaczać w różne strony. Z tego powodu w ciemności nocnej rozproszyły się po morzu, tracąc siebie z oczu. Gdy zaświtało, przypłynęły za „Pereświtem” do Portu Artura okręty pancerne: „Retwizan”, „Połtawa”, krążownik „Pallada” i trzy buchadłowce. W bitwie poległ (na „Pereświcie”) dwaj oficerowie, ciężko raniony kapitan (naczelnik) okrętu, który jednak pozostawał na stanowisku jeszcze 20 minut, do czasu aż okręt wpłynął do przystani. Innych oficerów jest 22 ranionych. Żołnierzy zabitych 38, a ranionych 286, z nich 50 ciężko.

*Szanhaj, d. 29.* Podadmiral Rejczensztejn, który na uszkodzonym w bitwie krążowniku „Askoldzie” schronił się razem z buchadłowcem „Grozowym” do przystani Szanhaju, otrzymał z Petersburga rozkaz, aby zastosował się do wymagań rządu chińskiego i prawa międzynarodowego, czyli żeby okręty te rozbroił. Oficerowie i żołnierze z obu okrętów mają być odesłani do Rossji.

*Londyn, d. 28.* (T. Ag. Ros.) Z Tokja telegrafują: Admirał japoński Kataoki donosi, że we czwartek 25 sierpnia wypłynął z Portu Artura na morze okręt pancerny „Sewastopol”, ale wkrótce wpadł na buchadło podwodne i od wybuchu jego przechylił się na prawy bok. Wprowadzono go napowrót do przystani Portu Artura.

*Londyn, d. 30 sierp.* (T. Ag. Ros.) Minister morskich sił wojennych w Anglii zawiadamia, że admirał dowodzący okrętami angielskimi u południowego końca Afryki popłynął z tuzem krążownikami na morze, aby szukać okrętów krążowników rossyjskich „Smoleńsk” i „Petersburg”. Czwartemu krążownikowi i statkowi armatniemu nakazano też szukać owych okrętów rossyjskich. Taki sam rozkaz wydano naczelnikowi okrętów na południowej części oceanu Atlantyckiego, między Afryką i Ameryką. (Anglii idzie o to, żeby okręty rossyjskie nie zatrzymywały okrętów angielskich handlowych poszukując na nich rzeczy uważanych przez Rossję z powodu wojny z Japońją za przemycanki wojenne.)

**Z Belgji.** *Bruksela, d. 29.* W miasteczku Hobokenie, które stanowi przedmieście ważnego miasta handlowego i przystani okrętów, Antwerpji, wybuchł pożar w ogromnych składach nafty. Ogień buchał dokoła ze straszną siłą już od paru dni i do tej pory nie jest jeszcze ugaszony. W składach mieściło się około 120 tysięcy beczek nafty. Spaliło się kilkunastu ludzi, których ogień zaskoczył w pobliżu.

**Cholera** w Persji nie ustaje i mnóstwo ludu ze świata zabiera. Straże rossyjskie baczą pilnie na granicy, aby tej zarazy nie przeniesiono na Kaukaz i do kraju Zakaspijskiego. Jednakże przedostała się ona tam do Merwu. Do dnia 24 sierpnia zmarło od niej w mieście Merwie 9 żołnierzy i 9 innych osób.

Na stronicach dodanych, 9 i 10, dzisiejszej Gazety mieszczą się:

Ofiary.—Odpowiedzi.—Wspomnienie pośmiertne.—Ceny targowe. Ogłoszenia.